

# STAR CRAFT

HEART OF THE SWARM



## Walczące ERK

Kal-El Bogdanove

Bill „Perła” Bousquette poczuł, że znowu swędzi go kark — miał tak już od pierwszego tygodnia służby podczas poprzedniej wojny. Wychował się na Choss, przeciętnym kawałku skały, który przewodniki lekceważąco określały mianem „New Moonxico” z powodu absolutnie jednorodnego wyżynno-pustynnego klimatu. Perła spędził tam młodość pracując, planując eleganckie miasta-klify, do których bogaci zabierali swoje rodziny i kochanki, aby rozkoszować się słońcem i suchym powietrzem, pozbyć się kosmicznej bladości, oczyścić zatoki i poczuć jak milion kredytów.

Pracując na świeżym powietrzu Choss, Perła przyzwyczał się do tego, że ma zawsze spieczoną na czerwono i suchą skórę na karku, nawet jeśli harował jak wół i inne części ciała nie wystawione na działanie słońca i wiatru zalewał pot. Na służbie większość czasu spędzało się w puszcze zamkniętej w innej puszczy, z dala od światła i powietrza. Uprząż artykulatora wewnątrz egzoszkieletu roboczo-konstrukcyjnego T-280 sprawiała, że Bill się pocił, a bez osuszania przez słońce i powietrze wilgotny kark oznaczał pod koniec pracy swędzący kark. Perle zdawało się, że swędzi go bardziej, kiedy jest zdenerwowany. Teraz swędziało go jak cholera, kiedy patrzył na swoich ludzi, którzy zebrali się wokół ekranu i przeklinali gorzej niż banda potępieńców.

— Dajcie spokój z podkładami. Jak, do ciasnej protoskiej, mamy to cholerstwo w ogóle zbudować? Rozkładany most, który podtrzyma tandem czołgów obłączniczych nad ćwierćkilometrowym dołem, ale na tyle lekki, żeby mógł go przenieść desantowiec z pełnym uzbrojeniem. Kuźwa! — Człowiek, który to mówił, nazywał się Vigo „Tuńczyk” Czark. Na powierzchni Czark był specjalistą od dźwigów dla flot rybackich na Turaxis II, a w kosmosie skończonym fatalistą.

Chewitel „Chimera” Wsoro (ekspert od materiałów wybuchowych z Old Faithful, zgarnięty sprzed nosa Konsorcjum Górniczemu Konfederacji) pokiwał głową z dezaprobatą.

— Kuźwa, na twoim miejscu bardziej martwiłbym się, że Raynor bierze misje, gdzie trzeba przeprowadzać pancerników dwójkami nad ćwierćkilometrową dziurą.

Perła pozwolił, aby jego operatorzy ERK pojęczeli jeszcze chwilę, gdy on przyglądał im się badawczo i analizował problem w wyobraźni. Ludzie wokół niego nie byli już młodzi; niech to — najmłodszy osiągnął już wiek średni i dorobili się pierwszych siwych włosów. Raynor próbował dać Billowi młodych, kiedy kompletował tę niedorzeczną ekipę. Przysłał najlepszych i najbystrzejszych prosto z Centralnego Uniwersytetu Umojańskiego (a przynajmniej tych, którzy zostali po tym, jak Dominium, Umojanie i Kombinat zasilili swoje szeregi). Wszyscy mieli

głowy napchane teorią, ale w praktyce żaden nie stworzył niczego większego od modelu. Na dodatek zwykle byli tak zieloni, że przy pierwszym wystrzale spawarki leciały im z rąk, a to kłóciło się z celem jednostki. Rekieterzy Raynora byli rebeliantami, próbującymi walczyć z całym zasranym Dominium dysponując jednym procentem tego, co wróg. Ciągłe brakowało im personelu, uzbrojenia i czasu, a mimo to Jimowi Raynorowi udawało się osiągnąć więcej zwycięstw niż porażek.

Zmagający się z przeciwnościami losu Raynor potrzebował grupy operatorów ERK zdolnych nawet w ogniu walki skupić się na rozwikłaniu pokrętnych zagadek inżynieryjnych i w razie potrzeby gotowych walczyć w obronie swoich dzieł. Raynor odszukał Perłę — widział, jak ten człowiek zespawał helioną, mimo że naboje pistoletowe waliły rytmicznie w tył jego T-280 — i powierzył mu zadanie poprowadzenia tej gromady szaleńców. Kiedy Perła powiedział Raynorowi, że każdy z ludzi, których zebrał do tej trupy, nie nadawał się do zadania, Raynor zachował cierpliwość, pozwolił mu ich wszystkich wywalić i rozpocząć rekrutację od nowa.

I tak się stało. Perła potrzebował grupy poważnych fachmanów, ekspertów twardych jak czerstwy piernik z czasów starej wojny. Potrzebował gości, którzy znali się na swojej robocie. Potrzebował trzydziestu takich, jak on sam, tak więc ruszył na ich poszukiwanie. Odwiedzał porty i budowy (oraz liczne bary) w całym sektorze, polując na wszystkich, od inżynierów z dyplomem, takich jak on, po hydraulików-samouków, którzy byli tak dobrzy, że potrafili zmusić gówno, by płynęło pod górę w upalny dzień.

Żaden z nich nie był młody, jak przeciętny marine, a dwóch na trzech pamiętało podróż z Pho-Rekh na Aiur podczas starej wojny. Fakty te dały początek popularnemu wśród marines żartowi: „Bądź miły dla ERK, bo to może jest twój tata!”. Hołota śmiała się do rozpuku, ale tylko dopóki nie zobaczyła, jak ERK zbudowali centrum dowodzenia i sześć bunkrów, podczas gdy reszta Rekieterów kryła się przed ogniem z dwóch banshee. Nagle pogląd, że operatorzy ERK byli tylko parszywymi beztalenciami i podstarzałymi tatuškami stracił na aktualności. Zaczęto wierzyć, że potrafiliby zbudować zamek ze śniegu w samo południe, w środku sierpnia, w piekle, pod ostrzałem samego diabła.

Może dlatego Perłę tak swędziało kark, gdy widział, jak gderają niczym banda bab na targu rybnym. Wiedział, że jeśli ci ludzie zrzędzą, to mają cholernie dobry powód.

Zachowywali się ordynarnie od wtorku rano, kiedy pierwszy spawacz Steiglitz otrzymał list. Jak większość operatorów ERK, Steiglitz zostawił w domu rodzinę — trzech chłopców i cierpliwą żonę — a list informował o śmierci pierworodnego. Z

poczucia obowiązku chłopak dołączył do straży planetarnej i został wysłany na tamten świat w kawałkach przez „bratobójczy ogień” podczas potyczki z zergami w górnych warstwach atmosfery.

We wtorek popołudniu Steiglitz pociął nowiutkiego kruka na sześć kosztownych kawałków złomu, zanim Choosey i zalewacz o imieniu Patel odciągnęli go od spawarki.

Perła pomyślał o swojej żonie i obu już dorosłych synach. Jeden kierował ośrodkiem Canyon Plaza na ojczystym świecie, a drugi projektował najnowocześniejsze silniki na Umoi. Byli nie bardziej bezpieczni niż chłopak Steiglitz i kiedy Bill myślał o swojej rodzinie, coraz częściej widział trzy postacie w szczerym polu, otoczone przez wrogów. Czas i odległość zawsze podsycaly niepokój, a odkąd Steiglitz dostał list, Bill czuł ciężki ciężar w dołku.

Odepchnął to uczucie i chrząknął.

— Dobra, dosyć. Gdybym chciał usłyszeć „nie da się”, to zapytałbym polityka Dominium. Spróbujemy jeszcze raz o 16:00. Do tego czasu wszystkie trzy oddziały mają przygotować wykonalną listę podkładek. Czas wolny należy do was. Spędźcie go na modlitwie lub rżnięciu w karty, mam to gdzieś. — Perła obrzucił mężczyznę zatroskanym spojrzeniem. Byli obdarci i pomarszczeni, jak za często czytany list. — Część z was powinna się ogarnąć. — Kilku operatorów zaśmiało się. — Ja też. — Pojawiły się kolejne uśmiechy. — Rozejść się.

Perła patrzył, jak ERK rozjeżdżają się i podrapał się stylusem zdalnej konsoli. On tu rządził i on musiał coś z tym zrobić. *Kuźwa.*

\*\*\*

Rory Swann odstawił głośno kufel. Rory wszystko robił głośno. Posiadał krewki temperament i Perła to lubił — może dlatego, że sam był powściągliwy i nigdy nie należał do osób, które przerywają milczenie.

Rory był głównym inżynierem pokładowym. Kilka lat wcześniej, ERK rozstawili się obok ekipy inżynierskiej, aby załatać „Hyperiona” po pewnej szczególnie paskudnej potyczce. Perła poznał najlepszych przyjaciół, siedząc po łokcie w trybach i smarze, a z Rorem było podobnie.

Ta dwójka, choć o różniącą się diametralnie charakterami, dogadywała się z łatwością. Perła przypisywał to częściowo temu, że byli niemal tej samej rangi i tego

samego fachu, ale z zasady ich obowiązki nigdy się nie pokrywały. *Możemy całkiem bezkarnie narzekać w swoim towarzystwie, nie ryzykując urażenia niczyjej dumy.* Zazwyczaj oznaczało to, że Rory nazywał Jima Raynora „cholernym narwańcem” i przez dwadzieścia minut debatował nad tym, co akurat tym razem spowodowało, że on i komandor wzięli się za bary.

*Dzisiaj może być inaczej* — pomyślał Perła, gdy Rory po raz tysięczny rozplęwał się nad zaletami pojazdu szturmowego grzechotnik. Ale pomimo utyskiwań, Swann i Raynor znali się jak łyse konie. A ponieważ Perła próbował znaleźć sposób na przekonanie Raynora do zrobienia czegoś, na co dowódca na pewno nie będzie miał ochoty, po poradę należało zwrócić się do Rory’ego.

— ...cholera, wątpię, żeby pozwolili mi nawet drugi raz wylądować na tym księżycu. — Swann kończył opowiadać historię o wielkiej rybie. Perła zaśmiał się (choć słyszał tę opowieść już nie raz) i pomyślał, jak ująć w słowa swój problem.

— Swann, słuchaj...

— Co ci chodzi po głowie, kolego?

Perła łyknął piwa.

— Ożeniłeś się?

— Więcej niż raz. — Swan wyszczerzył zęby. — A co? Ktoś szuka jednorękiego męża?

Perła wziął garść precelków i zaczął opowiadać o Steiglitzu — zauważył grymas na twarzy Swanna, gdy doszedł do tego, co stało się z krukiem — i w końcu wyłuszczył, co go martwiło.

— Rzecz w tym, że nigdy się nie opieprzali. Nigdy niczego nie zawalili. Ale to nie daje im spokoju. Robią się wrażliwi, choć nie ze złej woli, tracą iskrę. Jakby to siadło im na podświadomość. Może tego nie widać, ale jeśli zwrócisz baczniej uwagę, zaczniesz zauważać, że procesory im się przegrzewają. Muszą zobaczyć się z rodzinami, Rory. Choćby na kilka godzin. Są... są coraz bardziej wymięci.

Rory otworzył i zamknął szczęki swojego mechanicznego ramienia.

— Hm. Ta. A jakżeby inaczej? Cholera... A większość ludzi na okręcie? To ich pierwsza wojna. To chłystki walczące w imię zasad lub zemsty. Niektórzy dla zabawy. Inaczej niż ty czy ja.

— Ty stary krętaczu. Nadal robisz to dla zabawy — parsknął Perła.

— Ta, może ja tak — zaśmiał się Swann. — Ale twoi ludzie nie. Oni robią to dla tych, których zostawili w domu. Musisz pogadać z Raynorem.

— I co mu powiem?

— To samo, co mnie. Cholera, obaj pochodzicie z tego czy innego zadupia. Wiesz najlepiej, jak trzeba gadać z kowbojami: wal prosto z mostu. Powiedz mu, czego ci trzeba.

— Nienawidzę się prosić.

— Nie prosisz. Mówisz. Raynor nie jest głupi. Dostrzeże w tym, no, mądrość. Pamiętaj, że każdy tutaj jest w tej samej beznadziejnej sytuacji i wszystkich łączy tylko jedno. Patrzą na ciebie, Raynora — na każdego z załogi — i widzą przeciętnego człowieka: ma dość wyzysku bandy faszystów, którzy nie wydaliby złamanego kredytu, żeby uratować twoje czy czyjekolwiek życie. Zaczynaj od podstaw. A potem dołóż resztę. Jak przy budowie wozów bojowych.

— Jesteś optymistą — westchnął Perła.

Rory zarechotał.

— A ty dziwnym skurczybykiem. Mógłbyś bez mrugnięcia okiem iść na gołe pięści z zelotą, ale jak ktoś chce wyciągnąć z ciebie więcej niż dziesięć słów, to się robisz trusia. — Swann sięgnął przez bar i nalał sobie z kija. — Jak nie pytasz, to odpowiedź zawsze brzmi „nie”. Pierwszy krok to otworzyć usta. Napij się ze mną jeszcze jednego, a potem idź i daj mu popalić.

\*\*\*

— Nie da rady — Raynor powiedział to z typową dla niego pewnością siebie, która sprawiała, że młodzi żołnierze stawali na baczność i salutowali. Perła automatycznie zaczął trzeć kark.

— Jesteśmy w ciężkiej sytuacji. Potrzebujemy konkretnej liczby zasobów, żeby utrzymać tę ptaszynę w powietrzu. Większość chłopaków jest zajęta zamienianiem tych zasobów na zużytą amunicję. Twoja jednostka daje z siebie dwanaście razy więcej niż każdy inny oddział podczas rocznej misji.

— Siedem razy więcej niż nasz odpowiednik w wojskach inżynieryjnych Dominion przy jednej trzeciej budżetu operacyjnego — odparł Perła — Jim, znam statystyki.

— Sam widzisz. — Raynor wyciągnął nóż i odkroił nim duży plaster jabłka, które leżało w misce w rogu jego biurka. — Jesteście potrzebni. — Zaproponował Billowi kawałek owocu zatknięty na czubku noża. Perła odmówił uprzejmie i nabrał powietrza. — Jesteśmy w trakcie rebelii, która nabrała rozpędu. Jedyne sposoby, żeby ją sfinansować to zaspokajać potrzeby ludzi z Moebiusa — Raynor ugryzł kawałek jabłka, przeżuł i połknął. — Dowodzenie to zawiła sprawa. Budżet liczy się tak samo, jak odwaga. Czy kiedykolwiek przewidziałeś, że tu trafisz?

Perła zastanowił się.

— Zawsze myślałem, że będę budował domy wczasowe dla bogatych, a wolne chwile spędzał na własnym ranczo; że przytyję i dorobię się wnuków.

— Zabawny ten wszechświat, co nie? — Raynor potrząsnął głową. — Perła, przykro mi. Stoimy w tej walce na ważnym rozdrożu. Nie da rady. Nie teraz.

Perłę zaskoczyły kiedyś trzy pomioty zergów, kiedy przeprowadzał polowy remont czołgu obłączniczego i udało mu się wykończyć wszystkie trzy z pomocą wyłącznie spawarki i bardzo ciężkiego klucza. *Dlaczego to jest takie cholernie trudne?*

Raynor postanowił przerwać ciszę:

— Ale dobrze, że tu jesteś, bo miałem cię dzisiaj wezwać na odprawę przed kolejną misją.

— Myślałem, że już zajmujemy się pewnym projektem.

Raynor wyszczerzył zęby.

— To ma pierwszeństwo. Nie przejmuj się... — Jim wsunął chip z danymi do konsoli taktycznej, nad którą zamigotał telemetryczny model niewielkiego księżycy. — To rutynowe zadanie.

\*\*\*

— To prosta misja wydobywcza — wyjaśnił Perła swoim ludziom zgromadzonym na odprawie.

— Przy wsparciu marines? — zapytał Czark.

— Komandor nie mówił, a ja nie pytałem. To rebelia, a nie taniec towarzyski. Ta szalona jednostka ma dość problemów i bez ściągania zdolnych ludzi z frontu, aby siorbali kawę i patrzyli, jak wiercimy. Poza tym, to będzie krótka piłka. Wpadamy i spadamy z towarem.

— A ten towar to...? — Chimera złożył ręce i zmarszczył brwi.

— Sondy, które pułkownik Griffud wysłał sześć tygodni temu, nadają non-stop. Odkryły cenną żyłę minerałów na księżycu. Brass otrzymał sygnał o godzinie 5. Trafimy tam przez cmentarzysko i mamy być gotowi do działania jutro rano.

— Jak cenną? — dociekał Czark. Perła wcisnął przycisk na konsoli taktycznej i patrzył, jak strumień danych pojawia się na ekranie, oświetlając twarze jego ludzi.

— Wielkie nieba! — westchnął Chimera.

— Pod warunkiem, że piszczałki Griffuda się nie mylą — dodał Czark.

Stojący po drugiej stronie Liam Griffud (profesor geologii eksploracyjnej po stypendium na UCU) odgarnął jasne włosy z bladej twarzy i splótł długie, cienkie palce.

— Nie mylą się — odpowiedział z uśmiechem tak suchym i drobnym, jak rodzynek.

— To czemu jeszcze nikt nie zatopił zębów w tej bułce z masłem? — maglował Chimera.

— Skąła nazywa się Gurdlak. Atmosfera odpowiednia dla życia ludzi, ale ledwo. Jest tak gorąco, że nawet takiemu szczirowi pustynnemu jak ja robi się gorąco. Wywiad twierdzi, że Dominium oznaczyło ją do potencjalnego terraformowania i wykorzystania na obóz dla uchodźców, ale nigdy nie wcieliło planu w życie. Nie ma aktu własności, ani żadnej oficjalnej wzmianki. Tylko wielka, ciepła skąła, której nikt nie przyjrzał się dokładnie — poza nami.

Perła wzruszył ramionami.



— Wystarczy wejść i zrobić swoje. Jedyny problem w tym, że Rekieterzy będą zajęci walką gdzie indziej. Mamy zapewniony transport tam i z powrotem, ale podczas misji jesteśmy zdani na siebie.

— A coś nowego? — Czark gderał jak zwykle ku ogólnej uciesze wszystkich. — W porządku, sierżancie. Powiadomię ekipę taktyczną A, żeby przyszykowała MUŁ-y.

— Wysmażę listę minimum niezbędnego sprzętu i przekażę ochmistrzowi — dodał Chimera.

— Jeszcze jedno... — Perła zawahał się. — Wiem, że przebraliśmy miarę z nadgodzinami i że większość z was jest tu dwie tury dłużej niż to, na co się pisała, bez żadnej przepustki. Wiem też, że i tak postaracie się dwa razy bardziej niż przeciętny operator. Ale pomyślałem, że będziecie chcieli wiedzieć, że... że pracuję nad tym. Rozejść się.

Załoga zaszurała spracowanymi butami, podrapała się po brodach i wyszła. Kilku skinęło Billowi przyjaźnie. Chimera zatrzymał się i powiedział cicho:

— Bez obaw, szefie. Jeśli to wykonalne, się zrobi.

Chimeryk poklepał go po ramieniu i pospieszył za resztą. Perła westchnął, patrząc, jak się oddalają.

*Dobrze, że tak myślisz.*

\*\*\*

Jak zawsze, zrzut ze statku sprawił, że Perle śniadanie podeszło do gardła. Z prawdziwą ulgą przywitał ziemię, mimo że w jego T-280 oddzielało go od niej półtora metra.

Perła przeciągnął się, wczuwając w znajome objęcia artykulatora. Standardowa uprząż posiadała odlane z formy elementy dopasowany do ciała operatora i potrafiła reagować na najmniejsze ruchy, przekładając je na manewry ERK. Pokładowy moduł sprzężenia zwrotnego (w skrócie nazywany przez operatorów PMS — czasem, gdy ktoś tracił kontrolę nad pojazdem, mówiło się, że „dostał PMS-a”) generował proporcjonalne reakcje dotykowe i dawał operatorowi poczucie, jakby ogromne ramiona potężnej maszyny były jego własnymi.

W poprzednim życiu Perła pracował na kontrakcie z takim jednym prostackim, mechanikiem-samoukiem pochodzącym z jakiejś zabitej dechami wiochy. Facet nazywał się Redell Quinton. Zostali dobrymi przyjaciółmi naprawiając chyba najbardziej wadliwe moduły sprzężenia zwrotnego w sektorze. Z czasem zaczęli spędzać wolne nocki na mrzonkach o zaawansowanych technicznie modułach, które mogliby opatentować, gdyby mieli forszę. Podczas jednej z takich burzy mózgów, napruci hangarowym samogonem Reda (po dziś dzień jedną z najpaskudniejszych gorzał, jakie kiedykolwiek przełknął Perła), Bill po raz pierwszy nakreślił schemat heurystycznego, biometrycznego artykulatora.

Kilka lat później, mając na rozkazy cały oddział ERK, Perła zabrał się do zbudowania mechanizmu i zainstalował go w każdej maszynie. Urządzenie uczyło się reakcji nerwowych każdego użytkownika i stopniowo się do nich dostosowywało, co pozwalało poprawić osiągi. Im więcej godzin jego ludzie odbębniali na ERK, tym maszyny lepiej reagowały. Perła, w głębi serca kowboj, często myślał o koniach, które farmerzy z Choss trzymali na wypadek częstych niedoborów paliwa — o jeźdźcu w siodle, który poznaje się nawzajem ze swoim rumakiem.

To uczucie było mu nieobce. Zbudował swojej maszynie wykonane z zezłomowanej neostali poszycie, podrasował pędniki i ogólnie chuchał i dmuchał na każdy element swojej wielkiej sterty sprzętu.

Teraz, gdy znajdował się bezpiecznie na terra firma (*a raczej Gurdlak firma* — pomyślał), Perła zrobił kilka płynnych, dudniących kroków, krótko odpalił siniki odrzutowe i sprawdził wskaźniki. Potem, zadowolony, że maszyna działa jak należy, odwrócił się i sprawdził monitor taktyczny po swojej lewej. Stały strumień sygnałów życiowych z wszystkich ERK pulsował wydajnie i uspokajająco siatką czerwonych kropek.

Perła rozejrzał się po Gurdlaku. Ciągająca się w nieskończoność równina porośnięta buszem, poprzecinana nielicznymi kanionami na wschodzie. Na zachodzie wyrastała stroma, skalista ściana, która rozciągała się daleko od wschodu do zachodu, tworząc płaskowyż z licznymi rozpadlinami i wąwozami. Księżyc był piękny i odległy w dobrze znany mu sposób — tak świecił wyłącznie na pustyniach. Dzień był piękny.

To utrudniało zdanie.

— Nie podnosić osłon, chłopaki. Wiem, że brakuje wam świeżego powietrza, ale to miejsce wyssie z was całą wilgoć, a nie mamy zbyt dużo wody. Komfortyzatory ustawcie na maksa, żeby się nie pocić.

*Marne szanse. Cholerstwa są niewiele lepsze od masowo produkowanych klimatyzatorów. Kiedy wrócimy, każę taktycznym je ulepszyć* —pomyślał Perła po raz setny.

Szybko zbudowali centrum dowodzenia. *Nie w rekordowym czasie* (Perła śledził czasy budowy, licząc że jego ludzie będą starali się bić je przy każdej okazji), *ale o niebo szybciej niż przeciętna ekipa roboli Dominium.*

Szybciej poszło im ze składowaniem zapasów i do lunchu byli gotowi do ustalenia planu wydobywania i wybrania początkowego miejsca kopania.

\*\*\*

Było tuż po godzinie 16:00, kiedy z głośnym KRAK! ustawili potykacz na zergi. Dźwięk był podobny do trzasku wtyczek zamykających się na nodze dzikiej świni z buszów wokół Quijadas, gdzie Bill polował jako dziecko.

Jeden z MUŁ-ów uszkodził ramię o 14.30 i Perła z Czarkiem pomagali ekipie A w pośpiesznej naprawie.

MUŁ-y, czyli mobilne urządzenia ładownicze, zapewniały wzrost wydajności na każdym wykopalisku. Były w stanie podnosić ładunki, z którymi nie poradziłyby sobie ERK. Brakowało im jednak mózgow i instynktu, więc Perła wyszkolił swoich ludzi, żeby koordynowali pracę z MUŁ-ami, korygowali pozbawioną wyobraźni telemetrię i kierowali mocarne ładowarki w miejsca, w których są najbardziej potrzebne. Poza tym cholerstwa zżerały energię jak dzieci cukierki i kiedy im się kończyła, kilka ERK musiało zajmować się ładowaniem.

Gdy Perła wrzucił na maszynę świeży ładunek, poczuł znajome mrowienie na karku. Mruknął i odwrócił się.

Po drugiej stronie wykopaliska mat Wolfe zatapiał swój przecinak w suchą skałę. Nagle z głośnym KRAK! Wolfe zniknął w szczelinie, która pojawiła się pod nimi. Ziejąca rozpadlina zaczęła okrążać wykopalisko powiększając się niczym rozdarcie na gwałtownie pękającym w szwach materiale.

Jedno z czerwonych świateł na monitorze po lewej stronie mrugnęło i zgasło. Wolfe nie żyje. Myśli Perły wystartowały. *Uskok tektoniczny? Nie. Zbyt regularny. Perfekcyjnie okrążył obóz. To celowe działanie. Zaplanowane!*

Wtedy ze szczeliny wyskoczył pierwszy zergling i wbił kolce w kokpit Corteza (*metalurga, który pracował w fabrykach samochodów luksusowych na Morii*). Perła przyjrzał się i zdał sobie sprawę, że szczelina jest pełna wijących się zergów.

*Kuźwa! Wycofać się do centrum dowodzenia i...*

Ale rozpadlina powiększała się okrążając cały teren. *Jeśli wrócimy do centrum dowodzenia po sprzęt, zostaniemy otoczeni*. Perła rozejrzał się po okolicy. Chimera znajdował się najbliżej zamykającej się drogi prowadzącej do kanionów. Pora na szybką decyzję.

— ERK! Zbiórka przy poruczniku Wsoro! Pakować się w przejście i do kanionów! Ciąg wszystko, co się rusza!

Perła wprawił artykulator w ruch. Zerglingi zaczęły już okrążać jego ludzi. ERK, poruszając się taktycznie dwójkami, bez paniki cięły i miażdżyły zerglingi i — najszybciej jak się da — gnały ku zamykającemu się przejściu. Gdyby Perła miał chwilę wytchnienia, poczułby dumę.

Ale nie było czasu. Zerglingi zdawały się wylewać z przeklętej szczeliny niekończącą się falą i tylko kwestią sekund było, zanim ERK zostaną przez nie zalane. Perła zauważył, jak jeden z zergów wylądował na maszynie Deana Moziana (*eksperta od balistyki uwolnionego od katorżniczej harówki na Cirion*) i zaczyna chwycić krawędzi osłony. Perła szarpnął artykulatorem i złapał stwora znajdującymi się na końcu ramienia kleszczami. Zacisnął pięść najmocniej, jak umiał, i przez PMS poczuł, jak czaszka robala pęka.

Perła szarpnął się i obrócił w kierunku Czarka, gdy poczuł, jak kolejny zergling skoczył z hukiem na tył jego maszyny. Czark zgniótł innego zerglinga, który znalazł się między nimi i podniósł spawarkę. W głośnikach rozległ się jękliwy syk, kiedy Czark na maksa podkręcił palnik i zdmuchnął robala z pleców Perły rozgrzanym do białości płomieniem.

Kolejne cztery światła zgasły — kolejni operatorzy, którzy dołączyli do Wolfe'a. Perła od razu przywołał z pamięci ich imiona i ruszył z dudnieniem.

*Bum! Addams, hydraulik z Wielkiego Zakola.*

Bum! *Kobayashi, fizyk cząsteczkowy z wędrownej floty badawczej.*

Zbliżali się do szczeliny; dwa MUŁ-y trzymały się z tyłu, aby osłaniać ucieczkę.

Bum! *LeFleur, projektant interfejsów z dalekiego Hypercade.*

BUM! *Nguyen, architekt strukturalny pracujący dla ChariCorps i wykorzystujący wojskowe technologie opancerzenia dla niskobudżetowych projektów mieszkalnych.*

Większość ludzi minęła już rozpadlinę. Perła odwrócił się. Czark i reszta guzdralskich atakowali plazmą wielką, brązową falę zergów.

*Co teraz? Nawet na otwartym terenie, zaleją nas w kilka sekund!* Perła chwycił ramieniem uszkodzony pojazd Blake'a (*specjalisty od sieci, już na emeryturze, po dwudziestu latach pracy dla UNN*) i przerzucił go na drugą stronę szczeliny. Fala niemal ich doganiała!

*Musimy je zablokować, bo będzie po nas! Klin ze spawarek dałby radę, reszta zyskałaby trochę czas...*

Perła widział, jak Wenders (*ekspert od wyburzeń z Halcyonu*) ginie w natłoku zerglingów. Zgasło kolejne światło.

Dostrzegł, jak z tyłu Czark najwyraźniej myśli o tym samym. *Nie, nie o tym samym, bo...*

Czark odpalił palnik i skierował płomień na olbrzymi pakiet materiałów wybuchowych przyczepionych do maszyny Wendersa. Z oddali Czark zauważył spojrzenie Perły. Ten zdążył jedynie wydać z siebie ciche, bezsensowne...

— Nie...

Cały obszar pokrył obłok ognia. Wybuch rzucił maszynę Perły na dwa wycofujące się ERK. Przez chwilę leżeli potrząsając głowami, próbując pozbyć się dzwonięcia w uszach.

Perła zebrał się na nogi. Czark kupił im trochę czasu, ale w najlepszym razie minutę. Musieli ruszać...

— Zachód, północny-zachód, najwyższy zasrany kanion, w jaki się wciśniemy. Współrzędne macie na HUD-ach! RUSZAĆ!

\*\*\*

Zanim Perła zdobył się na rozkaz postoju, zapadła noc.

Udało im się przekroczyć rozpadlinę, zanim zergi się przegrupowały, i kiedy ERK znalazły się poza zasięgiem wzroku wroga, zerglingi zaprzestały pogoni. Perła wiedział, że spokojny, bezwietrzny dzień nie pozwalał zapachowi smaru z maszyn rozprzestrzeniać się, co utrudniało tropienie, więc zrobili przerwę.

W głębokich, wijących się korytarzach wrytych w płaskowyż, odkryli ogromny kanion o stromych zboczach. Istniały z niego tylko dwa wyjścia, oba stanowiły przewężenie. *Będziemy tu względnie bezpieczni* — pomyślał Perła i wydał rozkaz.

Mężczyźni stanęli. Perła otworzył kanał łączności z Griffudem.

— Liam. Potrzebuję migiem dokładnego obrazu 3D tych kanionów.

— Przyjąłem, szefie. — Odpowiedzi Griffuda towarzyszyło kilka stłumionych piknięć, gdy operator przystąpił do pracy. Perła przytaknął i odwrócił się do reszty oddziału.

— Dobra, zbiórka.

Tak zrobili — zmęczeni, ale bez marudzenia.

— Straciliśmy dzisiaj kilku przyjaciół i jesteśmy wyczerpani marszem. Ale zanim odpoczniemy, muszę poprosić was jeszcze o odrobinę wysiłku.

— Perła, co to było, do cholery?! — Głos należał do Eddiego Rimesa, kapitana transportowców z Tyradora.

— Zasadzka — odpowiedział Chimera. — Umiem ją rozpoznać. Wiele ich urządziliśmy na kundli z Dominium, prawda? Wysłano nas, żebyśmy kopali w cholernym wilczym dole. — Rimes kontynuował. — Ale skąd mogły wiedzieć? Skąd mogły wiedzieć, że przylecimy właśnie tutaj?!

— Nie wiedziały. — Odezwał się Dave Warner, który trzy lata spędził opracowując strategie inżynieryjne do przeciwdziałania skutkom broni biologicznej

dla SJB. — Pułapka nie była zastawiona na nas, ani na nikogo innego. A raczej na nikogo, kto nie pełza i nie ma pancerza. W Specjalnej Jednostce Badawczej dostawaliśmy raporty na ten temat — nazywano to „potykaczami”. Polega to na tym, że zergi znajdują duże skupisko surowców i zamiast je wydobywać, zakopują się, wypełniają jamę biomasą i przechodzą w stan hibernacji. Jak żaby w wysychającym zbiorniku.

— GÓWNO prawda, kolego! Żaby nie eksplodują z ziemi i nie rozrywają cię na strzępy!

Perła miał tego dosyć. Wskoczył na najbliższą skałę i wrzasnął:

— Dobra, basta!

ERK zbastowały. Perła westchnął.

— Nie będę lukrował. Mamy kłopoty. Przede wszystkim od początku byliśmy zdani na siebie. Teraz na dodatek nasza woda i żywność znajdują się pośrodku śmiertelnej pułapki. Jesteśmy poza zasięgiem „Hyperiona” i nie należy się go spodziewać przez najbliższe dwa tygodnie. A to, czym dysponujemy... — zamilkł.

— ...to zdecydowanie za mało — dokończył za niego Griffud.

— Więc... potrzebuję pomysłów — podjął Perła.

Wszyscy milczeli. Po raz pierwszy, odkąd Perła pamiętał, poprosił swoje ERK o burzę mózgow i nie skończył zasypany dwudziestoma równoważnymi planami A. Teraz potrzebowali czegoś więcej niż planów. Czegoś więcej niż przywództwa. Potrzebowali inspiracji. Zastanowił się nad tym, co powiedział Swann. *Inspiracji od człowieka, który nienawidzi wypowiadać więcej niż dziesięć słów na raz. Niech to szlag.* Potem Perła pomyślał o Lynn-Ann i swoich dwóch chłopakach. Zastanowił się mocno. *Po pierwsze, trzeba otworzyć usta.*

— Okej – zaczął nie wiedząc, co powie dalej. — Okej, słuchajcie...

Posłuchali.

— Tak to widzę... to... to jest problem inżynierski, tak jak każdy inny. To transport niebezpiecznych materiałów. To zarządzanie zasobami. To...

— To hydraulika — dokończył Chimera.

— Dokładnie! — zawtórował Perła. — Brudna robota. Pomyślcie. Wpadliśmy jak śliwki w gówno i chcemy, żeby to gówno popłynęło sobie gdzie indziej. Więc, co mamy, żeby to zrobić?

— Zaczniemy od tego, że wszyscy siedzimy w wielkich pojazdach budowlanych — zabrał głos Griffud. — To już coś.

— I co z nimi zrobimy? No dalej!

— Normalnie budujemy, ale nie mamy materiałów — dołączył Rimes.

Perła podrapał się po karku i rozejrzał. Strzelił palcami.

— Pewnie, że mamy. Chyba nigdy nie widziałeś moich arcydzieł na Choss.

Rimes rozejrzał się i roześmiał.

— Klify. Rzeźbiliście różne cholerstwa w klifach...

— Całe kurorty, praktycznie pionowe miasta. — podjął Perła. — Słuchajcie, mechanicy. — Wjechał na środek kanionu. — Stoimy pośrodku góry materiałów budowlanych. Te wijące się gnidy myślą, że umieją zastawić pułapkę? Zobaczmy, jak poradzą sobie z najbardziej postrzeloną i najtwardszą ekipą mechaników w całym pieprzonym sektorze!

Perła odwrócił się i zaczął krążyć między swoimi ludźmi.

— Jesteście zmęczeni. Ja też. Jestem wyczerpany uciekaniem, pięćdziesięcioletnią włóczęgą, patrzeniem, jak Konfederacja i Dominium wykrwawiają mój świat i dwoma pieprzonymi wojnami za dużo! Jestem skonany i wkurwiony, i wy też powinniście, bo znowu tyramy siedem razy ciężiej niż jakakolwiek zasrana jednostka w tym sektorze! Ale wiecie co? Cieszę się! Cieszę się, bo kiedy wrócę — do moich chłopaków, do domu, do żony — kiedy wrócę, to będzie znaczyło, że zasłużyłem sobie na to, jak nikt inny, kto nie był dzisiaj w tej dziurze. Jeśli wiec jesteście zmęczeni, to dobrze! Jesteście wściekli? Jeszcze lepiej. Zmęczeni, źli, brudni, głodni operatorzy ERK warci więcej niż dziesięciu żołnierzy odbębniających osiem godzin w jednym miejscu. Dają nam łyżkę, budujemy im bunkier. Dają nam łopatę, a budujemy im fort! Dają nam pustą dziurę w ziemi, a stworzymy maszynę śmierci, która zmiażdży robale z takim pieprznięciem, że będziecie żałować, że nie ma ich więcej. I obiecuję wam jedno... Ludzie w kantine na okręcie i ci leżący na pryczach



w całym sektorze, będą jęczeli i sikali z zazdrości, że nie było ich tutaj, kiedy szesnastu wyczerpanych mechaników wybiło armię żarłocznych ksenomorfów!

— Tak jest! — krzyknął Drew Roder (*poszukiwacz ropy z dziesięcioletnim doświadczeniem na zamrożonym Zenn*), reszta ryknęła śmiechem i zaklaskała.

W komunikatorze Perły odezwał się cichy głos Griffuda:

— Mamy 3D całego obszaru.

Perła od razu włączył model i zlokalizował kanion. Badał migający obraz wijących się rozpadlin, potem zaznaczył kilka punktów i wysłał do reszty.

— Widzicie? Będzie łatwiej niż myśleliśmy.

Rozległo się kilka pełnych aprobujących chrząknięć, a uszu Perły dobiegło przynajmniej jedno „cholerna racja”.

— Chimera, możesz poszerzyć wejście materiałami wybuchowymi, które mamy?

— Mogę zrobić znacznie więcej. Ale jest jedno pytanie, szefie. Jak ściągniemy tutaj te pełzającego gnidy?

Perła westchnął i znowu pomyślał o rodzinie.

— Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób...

\*\*\*

Pracowali przez noc, nie spiesząc się, aby wszystko zrobić jak należy. Będą mieli tylko jedną szansę. Ale operatorzy ERK do tego przywykli. Budowali katapulty startowe, przy których centymetr w złą stronę oznaczał śmierć pilota. Tworzyli dokładne plany potrzebnych do budowy materiałów, gdyż każdy dodatkowy kilogram neostalowego pancerza groził rozbiciem statku o zbocze góry, a każdy kilogram za mało groził śmiercią od kolców ultralisków.

*Na swój sposób miło dla odmiany troszczyć się o własne życie, a nie jakiegoś zapalczego chłystka.*

Myśl ta naszła Perłę, gdy o wschodzie słońca przyglądał się porzuconemu przez nich obozowi. Pozostali operatorzy sprzeciwili się, kiedy powiedział, że on pójdzie, ale Perła nalegał. Griffud (jak na przekleństwo, niemiłosiernie naukowy aż do

samego końca) przypomniał, że Perła trzeci rok z rzędu wygrał wyścig przełajowy T-280. Nawet gdyby tak nie było, Perła czuł, że pozwolił już na tej misji zbyt wielu ludziom zginąć za niego.

*Jest cicho.*

Poza ogromną szczeliną i łatwo rozpoznawalną mazistą biomasą, obóz wyglądał tak jak w dniu, w którym go zbudowali. Spokojny. Opuszczony.

*Jasne, skoro w to wierzysz, to mam most na sprzedaż — zarechotał w myślach Perła. — Właściwie to nie kłamię. Naprawdę mamy mosty na zbyciu.*

Śmiech Perły sprawił, że w komunikatorze odezwał się zaniepokojony Chimera:

— Sir?

*Robię się nerwowo. Muszę się skupić.* Perła zebrał się w sobie i odpowiedział cicho:

— Nic Chimera. Co u was?

— Kończę ładować maszyny solarkami. Za minutę będą gotowe do akcji, szefie.

*To może być ten dzień — pomyślał Perła. — Niech to, wywinąłem się kulom więcej razy niż powinienem. Dwie wojny, niezliczone światy bezprawia. Jeśli mogę uratować resztę, to...*

— ...to dobrze — powiedział na głos.

— Trzydzieści sekund, szefie.

*Ale jeśli to ma być ta chwila...* Perła sięgnął do przycisku i nacisnął. Hermetyczna osłona kabiny otworzyła się z sykiem.

— Szefie?!

— W porządku, Chimera. — Suche powietrze Gurdlaka omiotło kokpit niczym czułe objęcia kochanki. Perła zignorował uprząż i poczuł, jak owiewa go słodkie, suche powietrze, ciepło słońca. Pomyślał o swoich synach. *Dobre chłopaki. Teraz już mężczyźni. Mają łeb na karku.*

— Piętnaście sekund, szefie.

Pomyślał o Lynn-Ann, o jej długich miodowych włosach i jej szczupłym, opalonym ciele. Dziewczyna z pogranicza na Choss. Na studiach spotykał się z pewnym kociakiem z miasta, ale podczas ferii na czwartym roku rzucił ją dla Lynn-Ann, której nie widział od czasów podstawówki. Lynn-Ann, chłopczyca z sąsiedztwa o umorusanych kolanach, która wyrosła na anioła pustyni. Lynn-Ann, która pachniała agawą i szałwią, i czymś nieokreślonym, jeszcze lepszym.

*Najlepsza decyzja w moim życiu* — pomyślał Perła.

— Pięć...

Wziął głęboki wdech i napęłnił płuca do oporu.

— Cztery...

Przeszedł plany w pamięci...

— Trzy...

Szukając błędu...

— Dwa...

Przerachował zmienne...

— Jeden!

Chwycił artykulator.

— ERK naładowane i gotowe!

Przez układy dotykowe poczuł, jak wiertło się rozkręca.

— Czekamy na sygnał, szefie!

Dotknął karku osuszonego przez wiatr...

— Szefie?!

Perłą nacisnął przycisk — osłona kokpitu zamknęła się...

...i wbił wiertło w ziemię!

Reakcja była natychmiastowa. Zerglingi wyskoczyły ze szczeliny falą wijących się odnóży. Ich grupowy syk dotarł do Perły ułamek sekundy przed tym, jak w pełni zdał sobie sprawę z tego, co robi.

— Kuźwa.

Odwrócił się, odpalił silniki odrzutowe i ruszył, jakby sam diabeł deptał mu po piętach.

Perła minął przejście do kanionu, do którego uciekli dzień wcześniej, i wybrał szersze wejście pół kilometra dalej. Przeglądając dane telemetryczne od Griffuda, zauważyli, że drugie przejście z kanionu znacznie się rozszerzało po kilku metrach. Dla oddziału taktycznego B modyfikacja przewężenia była dziecinnie prosta.

*Będzie ładnie i gościnnie* — pomyślał Perła. — *Mam nadzieję.*

Pierwszemu zerglingowi dotarcie do niego zajęło trzy minuty szaleńczego biegu („na złamanie karku” — powiedziałyby Lynn-Ann). Bill był gotowy. Szybki zamach palnikami i zerg zatoczył się rozpadając na dwa kawałki, które po kilku sekundach stratowała reszta hordy.

Ale Perła stracił pół kroku, a małe gnoje okazały się diabelnie szybkie.

Kolejnego złapał w szczypce i rzucił przed siebie, aby po kilku krokach go zmiażdżyć.

Jednak trzeciemu zerglingowi udało się wbić zęby w motywator lewego ramienia, zanim Perła zdążył spalić robala plazmą, a czwarty wskoczył mu na plecy.

Perła poczuł, jak serwomechanizmy zwalniają przez dodatkowy ciężar.  
*Niedobrze. Muszę je strącić.*

Siłą otworzył skrzynkę rozrządczą i doprowadził do krótkiego spięcia. Pancierz jego T-280 rozjarzył się do białości od prądu, zerglingi zapiszczały i spadły.

Perła sprawdził liczniki. Wystarczy prądu, żeby dotrzeć do końca, jeśli nie będzie używał pędników.

*Drugi raz nie zastosuję tej sztuczki. Muszę zwiększyć dystans.*

Opuścili obóz zostawiając prawie wszystko, ale mieli przy sobie kilka pakietów wyburzających i dobrych parę metrów przewodów. Potrzebowali większości z nich przy budowie, ale resztę Dean i Chimera wykorzystali na stworzenie trzech małych niespodzianek. Perła miał je przy sobie. Sięgnął po pierwsze podłużne urządzenie i stuknął w panel kontrolny, żeby je aktywować.

Sprawa była skomplikowana. Jeśli za bardzo spłoszy zergi, horda zaprzestanie pościgu. Jeśli niedostatecznie, to go dogonią. *Tak to wygląda w skrócie* — pomyślał Perła. — *Inżynieria tkwi w szczegółach* — zapamiętał słowa jednego z profesorów. Zapewne uczony nie miał na myśli wodzenia za nos wrogich ksenomorfów. Zapewne chodziło mu o pisanie podań o wielkie granty badawcze, albo publikowanie corocznego podręcznika technicznego.

— *To już wolę to, co robię.*

Perła odwrócił się i spojrzał na horde. — *Cholera. Zły pomysł. Jest ich od groma.* Skrzyżował palce i splunął, jak setki razy robił to jego ojciec na szczęście, a potem rzucił urządzenie Chimery w falę robali.

BUM! Granat ogłuszający wzbił w powietrze niewielką chmurę pyłu i poprzewracał zerglingi. Słyszał, jak reszta syczy i piszczy z żądy krwi.

*Zergisyny, to działa!* — Właśnie zyskał kilka metrów przewagi, ale horda nie zdradzała oznak zniechęcenia. *Jeszcze bardziej je wkurwiłem. I dobrze. Zawsze lepiej walczyć z roztrzęsionym wrogiem.*

Dotarł do kanionu i powiększył dystans, gdy zergi zwały szeregi (jeśli można to tak nazwać), aby zmieścić się w ciaśniejszym przejściu.

Perła zlikwidował dwa palnikami, a kolejnego nabił na pobliski skalny kolec. Ale reszta znowu się zbliżała i nie mógł ryzykować, że następne wskoczą na niego i spowolnią. Przyszykował drugi granat.

BUM! BUM! Bum, bum, bum! Dźwięk rozszedł się echem w kanionie.

Perła odwrócił się. *Niedobrze.* Tym razem wybuch nie spowolnił ich tak bardzo jak poprzednio — kilka po prostu przycisnęło się do ścian i kontynuowało bieg z pełną szybkością. Miał jednak miejsce.

Perła sprawdził dane telemetryczne. Szlag. Jeszcze tyle drogi, a już zużył drugą niespodziankę. *Jeśli to przeżyję, może dostanę dożywotnio puchar biegu przełajowego.*

Wyłączył komfortyzator, aby oszczędzać energię po krótkim śpięciu, i teraz w środku panował taki sam upał, jak na zewnątrz, tylko, że w kabinie było znacznie wilgotniej.

*Zanotować: Jeśli przeżyję, oddeleguję cały oddział do opracowania materiału lepiej odprowadzającego wilgoć.*

Kolejny zergling zmniejszył dystans, Perła zdołał przebić go wiertłem, ale wcześniej robał przegryzł przewód sterujący całym prawym ramieniem.

Perła był już blisko. Gdy wchodził w zakręt, zauważył ostatni, prosty odcinek wiodący w dół do finiszu. Uda mu się!

Wtedy pierwszy zergling uderzył go w tył. Perła zaklął i zachwiał się, przygniatając bydlę do ścian kanionu. Ale zerg go spowolnił. A nie należało zapominać o tych, które biegły po niemal pionowych ścianach. Ledwie uszedł kolejne trzy kroki, a poczuł uderzenie następnego robala.

A potem kolejnego.

I jeszcze jednego.

Zatrząsł się i działającym ramieniem T-280 zerwał jednego z małych gnojzków, ale na jego miejsce od razu pojawił się czwarty. Zergi dźgały kolcami w plastalową osłonę kabiny. Serwomechanizmy maszyny zajęczały, jej pęd zmalał drastycznie. Perła widział cel kilka metrów przed sobą, ale był niemożliwy. Niemożliwie odległy.

Za kilka sekund dogoni go reszta hordy. Nie mógł znowu wykorzystać krótkiego śpięcia, bo go unieruchomi na dobre. W pędnikach też brakowało energii.

Na osłonie zaczęły pojawiać się pęknięcia przypominające pajęczynę.

*Tylko jedna szansa. To szaleństwo. Ale musiał doprowadzić robale za przewężenie...*

KLINK! Przez plastal przebił się kolec jednego z zerglingów i Perła poczuł palący ból głęboko w ramieniu. Wrzasnął i zazgrzytał zębami..

*Teraz albo nigdy!*

Nacisnął panel dotykowy sprawnym ramieniem ...

...i świat rozbłysnął na biało w wybuchu ostatniego granatu ogłuszającego — nadal przypiętego do jego maszyny — który eksplodował z głuchym POP!

\*\*\*

*Ból.*

Ból ramienia.

Nie umarł.

Perła otworzył oczy. Wybuch rzucił jego maszynę praktycznie na drugi koniec kanionu. Ból w ramieniu spowodowany był nadal wbitym tam kolcem zerglinga, oddzielonym od właściciela w chwili eksplozji.

Mężczyzna spojrział przez popękaną osłonę.

Cała horda zergów wlała się przez przewężenie i zmierzała...

*Prosto na mnie.*

Perła zaklął i chwycił za stery. T-280 był zdezelowany. Wszystkie motywatory w jednej z nóg poszły. Nieważne. Działała jeszcze jedna noga i jedno ramie. Podniósł maszynę. Zdał sobie sprawę, że Chimera i każdy inny członek ekipy drą się do niego przez komunikator, żeby „do cholery, brań dupę w troki!”. Tak też zrobił.

Podskakiwał, powłóczył nogą i robił piruety, jak pijak i jakoś — *jakoś* — dotarł do ściany, z której zwiślał łańcuch holowniczy Chimery. Chwycił się szczypcami i przez PMS poczuł szarpnięcie, gdy Chimera i Griffud zaczęli go wciągać!

Perła usłyszał łomot — niczym pociąg towarowy wypełniony pszczołami uderzający w przeszło mostu — gdy setki zerglingów stłoczyły się pod ścianą pod nim.

Szarpały się — *i to jak* — pod skałą, która została odpowiednio wyrównana.

— Zergling potrafi się wspiąć po prawie pionowej powierzchni — odezwał się Warner. — Ale tylko po prawie.

I zasyczały — *i to jak* — gdy Chimera wcisnął przycisk i detonował ładunki wybuchowe precyzyjnie rozmieszczone w ścianach klifu tak, aby poszerzone przewężenie zniknęło z chrupoczącym *bum* i wśród tumanów pyłu.

— Gładko jak po maśle — stwierdził Chimera.

Zerglingi zaczęły ginąć.

Ginęły, gdy precyzyjnie podkopane kamienne podłoże zawaliło się pod nimi, posyłając w dół wypełniony kolcami z dokładnie naostrzonych przewodów.

Ginęły, gdy elegancko ociosane kolumny skalne stoczyły się na nie płynnie i z łoskotem po perfekcyjnie obrobionym pochyleniu i zgmiotły robale na lepką miazgę.

Ginęły w pułapkach i jamach, we wnykach i lawinach. A kiedy została ich tylko garstka, zginęły zmiażdżone serwomechanizmami szczęk ładowniczych z rąk falangi piętnastu głodnych, zmęczonych, ordynarnych, starych pierdzieli. Perła pozwolił im dokończyć robotę. Zasłużyli na tę satysfakcję.

\*\*\*

Porucznik Hathaway był zdenerwowany, gdy desantowiec z drzeniem przebijał się przez cienką, suchą atmosferę Gurdłaka. Nie chodziło o sam zrzut. W swojej krótkiej karierze Hathaway lądował na planetach o wiele mniej przyjaznych od tej. Belkę zdobył, kiedy wpatrując się w paszczę wściekłego skaziciela nacisnął spust karabinu Gaussa i uratował tuzin żołnierzy.

Jednak zawsze, gdy miał do czynienia z ERK, czuł się jak dzieciak przyłapany na zabawie narzędziami ojca. Żałował, że nie dostał innego przydziału, ale trudno: kiedy Jim Raynor prosi o wykonanie zadania, to się je wykonuje.

Statek wylądował bez problemów i Hathaway wyszedł, aby zbadać wykopalisko. Mrugnął. ERK były rozproszone po obozie — siedzieli na skrzyniach, grali w karty lub z wystawionymi przez otwarte kokpity nogami drzemali.

Ale Hathaway nie na to patrzył. Cały obóz otoczony był czaszkami zerglingów nabitymi na kije. Zmiażdżonymi, popękkanymi, pospiesznie złożonymi za pomocą taśm budowlanych. Hathaway patrzył na nie, na ślady szponów na niedawno



wzniesionych budowlach, na T-280 prowizorycznie doprowadzone do używalności przy pomocy różnych skrawków i części; zaraz... czy to keg po piwie robiący za osłonę motywatora?!

— Nie spieszyło wam się. — Człowiek nazywał się „Chimera” Wsoro. Hathaway znalazł go z odprawy przed misją, ale nie odezwał się, tylko dalej się gapił. Chimera zaczekał, a następnie rozejrzał się wokół i zarechotał. — A, tak. Mieliśmy mały problem z zergami.

Hathaway zająknął się. Otworzył usta, żeby się odezwać. Zamknął je. Otworzył ponownie i znowu zamknął. W końcu wydusił:

— Jak? To jest... macie szczęście, że... to znaczy... czy... czy udało wam się zebrać czterysta jednostek, po które was wysłali?

Choosey zaśmiał się.

— Młody, oczywiście, że nie.

Hathaway stęknął cicho. Raynor nie będzie...

— Wydobyliśmy osiemset.

Strojący nieopodal Perła uśmiechnął się pobłaźliwie.

\*\*\*

Jim Raynor odpowiedział na pukanie do drzwi.

— Wejść.

Perła w progu zerlną na Raynora wpatrującego się ponuro w odczyt taktyczny. Dowódca wyłączył ekran i przetarł oczy.

— Hej, Perła. Jak ręka?

Perła postawił skrzynkę z narzędziami obok drzwi i wszedł do pomieszczenia.

— Jak nowa. Rory jest zawiedziony. Myślał, że wspólnie napiszemy książkę o jednorękowej inżynierii — zażartował.

Raynor uśmiechnął się.

— Szkoda. Moglibyście uderzyć z tą książką w trasę.

— Mam już dość podróży, komandorze.

— Ja również. Co ci chodzi po głowie, Perła?

Operator ERK wziął głęboki wdech i przygotował się na wypowiedzenie dziesięciu słów. Albo więcej, jeśli będzie trzeba.

— Specjalny Oddział Inżynieryjny ERK ma wyniki siedem razy wyższe niż nasz odpowiednik w wojskach Dominionum.

— Osiem — poprawił Raynor. — Sprawdziłem najnowsze dane.

Perła uśmiechnął się smutno.

— Tak. Zdaje się, że spiknąłeś się z księciem Valerianem, gdy ja i moi ludzie byliśmy na dole.

Raynor ostro wciągnął powietrze.

— Ta. Musiałem podjąć parę nietypowych decyzji. Ale nasza sytuacja w tej wojnie zmieniła się na lepsze! Więc jeśli jesteś tu, żeby ...

— Nie. Chcę pokoju, ale jestem realistą. Ta sytuacja ma swoje zalety. I mówię to, jako inżynier. Ufamy ci.

— Doceniam...

Perła ciągnął dalej

— A jednak... te liczby. Dominionum razy osiem. To nasza robota. Załatwiamy ci drogę, most lub budowlę, gdzie tylko sobie zapragniesz, a robimy to, bo ta jednostka składa się z dorosłych mężczyzn, Jim. Nie z jakichś tam zielonych szczeniaków i mięczaków, którzy rozwalają się na kawałki w całym sektorze, ale z mężczyzn, którzy mają rodziny.

— Perła, nikt nie jest...

— Jeszcze nie skończyłem. Osiągamy takie wyniki nie wbrew temu, że martwimy się o nasze rodziny, ale *dlatego*, że się o nie martwimy. To lepsza motywacja niż jakikolwiek stymulant. Ale zbiera swoje żniwo. — Perła zrobił pauzę i wyciągnął zdalną konsolę. — To harmonogram konserwacji maszyn pod moją komendą. Jest tu lista niezbędnego wyposażenia i imię każdego człowieka pod moją komendą. Oni też potrzebują przerw technicznych. To grafik dyżurowy. Jest powiązany z planem nawigacyjnym, który złożyłeś na mostku. W każdym momencie będziesz mieć maksymalnie czterech ludzi mniej. Możesz podpisać... — Podał konsolę Raynorowi. — Albo możesz znaleźć nowego dowódcę oddziału.

Jim Raynor podniósł na Perłę zmęczone oczy kowboja. Zapanowała cisza. Gdzieś na okręcie, nad nimi, coś z łoskotem spadło na pokład. Pod dłuższej chwili Raynor wziął konsolę.

— Okej.

Perła spojrzał mu w oczy.

— Okej.

Operator odwrócił się, aby wyjść, ale Raynor dodał:

— Jedna sprawa...

— Tak, Jim?

— Pamiętasz mobilny most, nad którym kazałem ci pracować? Chyba mam misję, podczas której zadebiutuje. — Perła przytaknął.— Co powiesz na budowę niewielkiego, ukrytego obozu... na Char?

Nie odwracając się, Perła wyszczerzył zęby i chwycił skrzynkę narzędziową.

Koniec